Charles L. Fontenay

Wiatr

(Wind)

Amazing Science Fiction Stories, April 1959
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Jan Willem van Artevelde twierdził, że pochodzi od Wilhelma Orańskiego. Co prawda nie miał żadnych zapisów genealogicznych, które mogłyby te roszczenia udowodnić, ale na Wenus nie było również nikogo, kto byłby w stanie je obalić.

Jan Willem van Artevelde palił glinianą fajkę, którą tylko Holender jest w stanie palić, ponieważ drobinki gliny ścierają mniej uparte zęby.

Jan potrzebował całego swojego holenderskiego uporu i dużych zasobów siły fizycznej, aby manewrować płaskim jak karaluch terenowym samochodem, zmierzającym przez skaliste tereny Den Hoorn, prosto w paszczę nadciągającej od zachodu potężnej wichury. Ogromne koła wykręciły się i uderzyły zewnętrzną stroną o kamienie, a Jan wyleciał w górę, lądując z powrotem w fotelu ściągnięty przez pas bezpieczeństwa, szarpnął kierownicą i wypuścił kłąb dymu ze swojej *pijp*. Hermetycznie szczelny samochód wypełniał łagodny aromat Heerenbaai-Tabak.

Po chwili nastąpiło nowe wahnięcie, tym razem niespowodowane przez trudny teren. Przez grubą przednią szybę Jan spostrzegł, że cała ziemia wokół niego podskakuje niczym dziki rumak i przez sekundę lub dwie unosi się do góry, aby za moment ponownie opaść i osiąść w skalistym spoczynku. Tym razem naprawdę go to poruszyło.

Jan nie omieszkał o tym wspomnieć przez radio łazika.

— To już po raz trzeci w ciągu pół godziny — skomentował sytuację. — Całe to miejsce rzuca się jak IJsselmeer[1] w sztormowy dzień.

— Tylko nie zapomnij, że to nie jest Zuider Zee — odciął się Heemskerk z drugiego końca. — Tam byś poszedł pod wodę i nie pojawił się trzy razy z powrotem.

— Nie martw się — powiedział Jan. — Wrócę na czas, z miotłą na szczycie masztu[2].

— To akurat, chciałbym zobaczyć — zachichotał Heemskerk; logiczna reakcja, biorąc pod uwagę kompletny brak mioteł na Wenus.

Jeszcze dwie godziny wcześniej, obaj mężczyźni siedzieli razem przy małym stoliku, grając w szachy, i niewiele wskazywało na to, że może pojawić się jakieś inne zajęcie, które wypełniłoby im czas przed startem krótkiej, masywnej łodzi grawitacyjnej. To miała być ich ostatnia partia szachów na okres wielu miesięcy, ponieważ Jan był mieszkańcem holenderskiej kolonii w Oostpoort na północnej półkuli Wenus, podczas gdy Heemskerk był pilotem G-łodzi z holenderskiego statku kosmicznego

[1] IJsselmeer – sztuczne jezioro w Holandii, powstałe w 1932 r., kiedy zatoka Zuider Zee została zamknięta 32-kilometrową tamą (przyp. tłum.)

[2] Podczas I wojny angielsko-holenderskiej (1652-1654) wybitny holenderski dowódca morski, admirał Maarten Tromp, po zwycięstwie nad flotą angielską nakazał wywieszenie na szczycie masztu miotły, jako szyderczego symbolicznego gestu, wskazującego że wymiótł Anglików z morza (przyp. tłum).

Vanderdecken, który za kilka godzin miał zaplanowany start do rejsu na orbitę Ziemi.

Zbliżał się zmierzch 485-godzinnego dnia wenusjańskiego, a Wieczorna Wichura już zaczęła wzbierać, wiejąc z relatywnie zimnej nocnej strony Wenus na mocno rozgrzaną dzienną stronę. Oostpoort, utworzony w pobliżu pokładów zawierających rudę uranu, chroniony był zarówno przed Poranną Wichurą, jak i przed Wieczorną Wichurą, ponieważ znajdował się w dolinie otoczonej niewielkim pasmem gór.

Jan wymyślił właśnie kombinację, dzięki której miał nadzieję wciągnąć w pułapkę jednego ze skoczków Heemskerka, gdy do pomieszczenia dla pilotów w porcie kosmicznym wszedł Dekker, *burgemeester* Oostpoort.

— Odebraliśmy alarmowy komunikat radiowy — przekazał im Dekker. — W Rathole mają pasażera na statek na Ziemię.

— Rathole? — powtórzył Heemskerk. — A co to takiego? Nie wiedziałem, że w promieniu dwóch tysięcy kilometrów jest jakaś inna kolonia.

— To nie jest kolonia, w takim sensie, jak Oostpoort — wyjaśnił Dekker. — Mieszkają tam rodziny grupy robotników, którzy pozostali tam po zwinięciu kolonii, kilka lat temu. Znajduje się tylko około osiemdziesiąt kilometrów stąd, po drugiej stronie Hoorn, ale nie mają tam żadnych pojazdów, które mogłyby poruszać się, kiedy wzmaga się wiatr.

Heemskerk zsunął czapkę o krótkim daszku na tył swej krótko obciętej głowy, rozłożył się na oparciu krzesła i złożył ręce na miękkim brzuchu.

— No to, pasażer będzie musiał poczekać na następny statek — stwierdził. — *Vanderdecken* musi wystartować w ciągu najbliższych trzydziestu godzin, aby złapać Ziemię we właściwym punkcie orbity, a G-łódź musi wystartować w ciągu dziesięciu godzin, aby złapać *Vanderdeckena*.

— Ten pasażer nie może czekać — odparł Dekker. — Musi zostać natychmiast ewakuowany na Ziemię. Cierpi na Cień Wenus.

Jan cicho gwizdnął. Widział już kiedyś skutki tej choroby. Dekker miał rację.

— Jan, jesteś najlepszym kierowcą w Oostpoort — powiedział Dekker. — Będziesz musiał pojechać samochodem do Rathole i przywieźć tego człowieka z powrotem tutaj.

Tak więc Jan chwycił mocno w zęby swą glinianą fajkę i ruszył łazikiem prosto w paszczę Wieczornej Wichury.

Den Hoorn była to stosunkowo płaska odnoga pustyni biegnąca wzdłuż zachodniej strony Gór Oost, położona tuż za górą otaczającą Oostpoort. Był to obszar aktywnego uskoku tektonicznego, na planecie której skorupa była szczególnie narażona na trzęsienia ziemi, specjalnie na początku i na końcu każdego długiego dnia, kiedy raptownie zmieniała się temperatura skał powierzchniowych. Po jego drugiej stronie znajdowała się Rathole, mała osada, utrzymująca się z niepewnych dochodów z wenusjańskiej roślinności. Jan nigdy wcześniej jej nie widział.

Nie miał większych trudności z wjechaniem na górę i przejechaniem przez nią, gdyż holenderscy osadnicy wycięli prymitywną drogę, wiodącą przez skaliste wąwozy. Ale nawet dwu i pół metrowe koła łazika, miały problem w kamienistym terenie Den Hoorn. Wiatr uderzał tutaj w samochód z pełną siłą i chociaż kadłub łazika było nisko zawieszony na osiach, istniało stałe niebezpieczeństwo, że pojazd zostanie przewrócony przez kolejny podmuch, jeśli nie będzie prowadzony we właściwy sposób.

Trzy trzęsienia ziemi, które targnęły Den Hoorn, od czasu gdy wyruszył w drogę, nie ułatwiały mu zadania, ale najwyraźniej miał szczęście. Często jednak musiał zjeżdżać daleko ze swojej trasy, aby omijać długie, głębokie pęknięcia powierzchni ziemi albo strome uskoki, w miejscach gdzie płyty skalne zostały wyniesione lub zepchnięte o kilka metrów, przez kolejne wstrząsy tektoniczne.

Samochód poruszał się powoli zakosami na zachód. Nisko ponad nim unosiły się poszarpane, fioletowo-indygowe chmury, ale wiatr był tak suchy jak podmuch z pieca w suszarni. Pomimo grubej warstwy chmur, popołudnie było jasne jak dzień na Ziemi. Termometr pokazywał, że temperatura na zewnętrz, na zachodnim wietrze spadła do 40 stopni Celsjusza i nadal opadała.

Jan dotarł na skraj szczeliny, która jak się wydawało uniemożliwiła dalszą jazdę. Miała ona sto metrów szerokości, nieznaną głębokość i rozciągała się w obu kierunkach aż poza zasięg wzroku. Po raz pierwszy poczuł poważne wątpliwości, czy Den Hoorn może zostać pokonane przez pojazd naziemny.

Po chwili wahania skręcił samochodem na północ i popędził wzdłuż krawędzi przepaści tak szybko, jak tylko samochód był w stanie połykać kolejne kilometry terenu. Spojrzał z niepokojem na zegarek. Minęły już prawie trzy godziny, odkąd opuścił Oostpoort. Miał w sumie siedem godzin czasu, a wciąż znajdował się co najmniej 16 kilometrów od Rathole. Jego fajka się wypaliła, ale nie mógł oderwać rąk od kierownicy, żeby ją napełnić.

Przejechał co najmniej osiem kilometrów, zanim zdał sobie sprawę, że szczelina się zwęża. Przynajmniej na tyle, że jej dwie krawędzie schodziły się razem, ale nie na tym samym poziomie. Trzy metry pionowego uskoku uniemożliwiały mu przejazd. Pojechał więc dalej.

Najwyraźniej był to skutek jakiegoś starego wstrząsu. W końcu znalazł miejsce, w którym skały osunęły w dół ściany, formując stromą, nierówną rampę. Podjechał po niej i skierował się na południowy zachód.

Zrobił to w ostatniej chwili. Przejechał nie więcej niż trzysta metrów, kiedy nadszedł wstrząs, bardziej dotkliwy niż którykolwiek z poprzednich. Nagle, za jego plecami, uskok odwrócił się sam z siebie, tak że kiedy przed chwilą musiał podjechać na niego jadąc na zachód, teraz będzie musiał wjechać na ścianę skalną takiej samej wysokości, wracając w kierunku wschodnim.

Grunt unosił się i opadał jak burzliwe morze. Skały przetaczały się i wyskakiwały w powietrze, kilka dużych kamieni uderzyło w samochód z niebezpieczną siłą. Łazik zatoczył się do przodu na swych gigantycznych kołach, jak pijany człowiek. Wstrząsy były tak gwałtowne, że w pewnej chwili pojazd został rzucony o kilka metrów w bok i niemalże się przewrócił. A wiatr smagał bezlitośnie go z góry.

Trzęsienie trwało przez kilka minut, w czasie których Jan nie był w stanie zrobić nawet kroku dalej i tylko walczył o utrzymanie samochodu w pozycji pionowej. Potem jednak, idealnie w tej samej chwili, zarówno wstrząsy, jak i wiatr, zamarły do poziomu absolutnej ciszy.

Jan wykorzystał ten spokój, aby docisnąć stopą pedał gazu i ruszyć samochodem żwawiej w dalszą drogę. Teraz, kiedy zbliżał się już do zachodniego krańca Den Hoorn, teren zrobił się nieco łatwiejszy, i pokonał kilka kilometrów, zanim wiatr uderzył ponownie, znacznie zmniejszając jego prędkość. Uznał, że powinien już zbliżać się do Rathole.

Niedługo później, objechał kolejną skałę, i rozpostarła się przed nim osada.

Ogarnęła go fala nostalgii. Tam, w Oostpoort, używano energii jądrowej, ale ta mała osada ciągle korzystała z najtańszego, najbardziej dostępnego źródła zasilania. Była usiana ponad tuzinem wiatraków.

Wiatraki! Łzy napłynęły Janowi do oczu. Przez chwilę poczuł się jak przeniesiony na równiny wokół Gravenhage. Przez chwilę znów był tym jasnowłosym chłopcem o błyszczących ciekawością oczach, ciężko biegnącym w drewnianych chodakach, wzdłuż pól tulipanów.

Tutaj jednak nie było kanałów. Równina ciągnąca się ku ciemniejącemu zachodowi, poznaczona była jedynie plamami kaktusów i wenusjańskich roślin o skórzastych liściach. Między wiatrakami z ziemi wyrastały niskie kopuły, co wskazywało, że mieszkania w Rathole były, zgodnie z logiką, w znacznej części skryte w ziemi.

Dojechał na miejsce. Nie było tutaj ulic jako takich, ale alejki wytyczone przez linie ciężkich łańcuchów przymocowanych do krótkich żelaznych słupków; najwyraźniej służyły one jako uchwyty chroniące przed porwaniem przez wiatr. Szaleńcza wichura nawiewała przy ścianach kopuł zaspy pyłu i piachu, po to tylko aby po lekkiej zmianie kierunku wiatru, ponownie wymieść je do czysta.

Nikt nie wyszedł poza granice osady, lecz w ich obrębie Jan znalazł grupę pół tuzina mężczyzn, trzymających się jednego z łańcuchów i machających na niego rękoma. Zatrzymał samochód koło nich, wsadził fajkę do kieszeni plastikowego skafandra wenusjańskiego, założył na głowę hełm, i wysiadł.

Wiatr niemalże go porwał, zanim jeden z nich złapał go i przytrzymał, aby mógł chwycić się łańcucha. Zgromadzili się wokół niego. Byli śniadzi, czarnoocy, mieli kędzierzawe włosy. Jeden z nich pochwycił jego dłoń.

— *Bienvenido, señor* — powiedział mężczyzna.

Jan cofnął się i puścił dłoń tego człowieka. Cała holenderska krew, do której rościł sobie pretensje, zaprotestowała z oburzeniem.
Hiszpanie! Ci wszyscy ludzie byli Hiszpanami!

Jan natychmiast się opanował. Za dużo czytał w wolnym czasie o historii starożytnej. Gorąco i monotonia Wenus zaczynały też chyba wpływać mu na mózg. Minęło 500 lat, odkąd Holandia zbuntowała się przeciwko hiszpańskim rządom. Od tego czasu dużo wody upłynęło w rzekach.
Rzut oka na otaczających go ludzi, brzmienie ich rozmów, przekonały go, że nie ma co próbować tutaj niemieckiego albo holenderskiego. Wrócił więc do języka międzynarodowego.
— Czy zna pan angielski? — zapytał.
Twarz mężczyzny pojaśniała, ale pokręcił przecząco głową.
— *No hablo inglés* — odparł, — *pero el médico lo habla. Venga conmigo*.
Gestem pokazał Janowi aby podążał za nim i zaczął przeciągać się pod wiatr, po łańcuchu. Jan ruszył za nim, a pozostali ludzie zostali całą grupą gdzieś z tyłu. Sto metrów dalej skręcili, zeszli po schodach i weszli do jednej z na wpół zagrzebanych w ziemi kopuł. W dobrze oświetlonym pomieszczeniu, najwyraźniej pełniącym funkcję salonu, znajdował się siwowłosy, brodaty mężczyzna z młodą kobietą.
— *Él médico* — powiedział mężczyzna, który przywitał się z Janem, wskazując ręką. — *Él habla inglés*.
Wyszedł, zamykając za sobą drzwi śluzy.
— To pan musi być tym człowiekiem z Oostpoort — przywitał go brodaty mężczyzna, wyciągając rękę. — Jestem doktor Sanchez. Bardzo jesteśmy panu wdzięczni za przybycie.
— Przez chwilę myślałem już, że mi się nie uda — powiedział żałośnie Jan, zdejmując wenusjański hełm.
— To jest pani Murillo — przedstawił Sanchez swoją towarzyszkę.
Kobieta była Hiszpanką, blondynką, piękną kobietą o pełnych wargach, o złotych włosach i ciemnych, wilgotnych oczach. Uśmiechnęła się do Jana.
— *Encantada de conocerlo, señor* — przywitała go.
— Czy to jest pacjentka, panie doktorze? — spytał zdumiony Jan. Wyglądała na kogoś w najlepszym zdrowiu.
— Nie, pacjent czeka w sąsiednim pokoju — odpowiedział mu Sanchez.
— No cóż, chociaż bardzo chciałbym zatrzymać się na fajkę, lepiej jednak ruszajmy od razu — powiedział Jan. — Czeka nas ciężka droga powrotna, a start statku nie może ulec opóźnieniu.
Kobieta zdawała się czuć sens jego słów. Odwróciła się i zawołała:
— *Diego*!
W drzwiach pojawił się młody człowiek, ciemnoskóry, o rozespanych oczach, chłopiec w wieku około ośmiu lat. Ziewnął. Potem, widząc wielkiego Holendra, otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się.

Chłopiec wyglądał na zdrowego, był żwawy, ale oznaki Cienia Wenus rysowały się na jego twarzy. Widać było na niej lekki cętkowany wzór, krzyż z trupio-bladych linii.

Pani Murillo szybko powiedziała coś do niego po hiszpańsku, a on skinął głową. Zapięła go w wenusjański skafander i założyła mu na głowę mały hełm.

— Powodzenia, *amigo* — powiedział Sanchez, ponownie ściskając rękę Jana.

— Dzięki — odparł Jan. Założył na głowę własny hełm. — Będę go potrzebował, jeśli podróż w tę stronę była jakąkolwiek wskazówką.

Jan i Diego ruszyli po łańcuchu do samochodu. Było tam teraz wielu mężczyzn i kilka kobiet. Przepuścili parę do środka i machali im rękoma na pożegnanie, kiedy Jan zawrócił samochód i ruszył z powrotem na wschód.

Łatwiej było jechać z wiatrem w plecy, i Jan osiągnął parę razy kilkaset kilometrów na godzinę, zanim dotarli do bardziej trudnego terenu Den Hoorn. Teraz, jeśli tylko uda mu się znaleźć sposób na tę zaporę skalną wzniesioną przez ostatnie trzęsienie...

Tereny Den Hoorn ciągle drżały. Jan nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki w pewnym momencie nie musiał wyhamować łazika, niemalże zatrzymując go w miejscu, ponieważ nie targały nim już silne okresowe wstrząsy, tak jak to miało miejsce wcześniej. Obecnie ziemia drżała stale, jakby powierzchnia ruchomych piasków.

Grunt daleko przed nimi miał w dodatku dziwny kolor. Jan, obserwując urwisko, które musiał objechać i pokonać, zwiększył wcześniej prędkość na dość równym terenie, ale teraz zwolnił, zaintrygowany. Coś było nie tak. Nie potrafił tego zrozumieć.

Siedzący obok niego Diego jak dotąd był cicho, niecierpliwie wyglądając przez przednią szybę. Teraz jednak nagle krzyknął wysokim, cienkim tenorem:

— *Cuidado! Cuidado! Un abismo*!

Jim zauważył to w tej samej chwili i nacisnął na hamulce tak mocno, że samochód stanąłby na nosie, gdyby miał mniejsze koła.

Zatrzymali się.

Przepaść, która przedtem spowodowała konieczność tak długiego objazdu, obecnie jeszcze się rozszerzyła, ewidentnie na skutek wielkiego trzęsienia, jakie napotkał po drodze w tamtą stronę. Teraz był to kanion o szerokości pół kilometra. Stał pięć metrów od krawędzi i patrzył przez pustą przestrzeń na przeciwległą ścianę, ale nie mógł dostrzec jego dna.

Przeklinając serią doborowych holenderskich wulgaryzmów, Jan zawrócił samochód na północ i pojechał wzdłuż krawędzi przepaści tak szybko, jak tylko mógł. Zmarnował pół godziny, zanim zdał sobie sprawę, że nie robi się węższa.

Nie było sensu jechać z powrotem na południe. Przepaść może mieć sto kilometrów długości, a może tysiąc, ale nigdy nie uda mu się dotrzeć

do jej końca, pokonać skał Den Hoorn i dotrzeć do Oostpoort przed startem G-łodzi.

Nie było innego wyjścia, jak tylko wrócić do Rathole i zobaczyć, czy nie można znaleźć jakiegoś innego sposobu na pokonanie tej drogi.

Jan siedział w na wpół zakopanym w ziemi pokoju i cieszył się luksusem fajki wypełnionej odrobiną łagodnego tytoniu Theodorusa Neimeijera. Przed nim siedział ze skrzyżowanymi nogami dr Sanchez, czyszcząc paznokcie skalpelem. W kącie pokoju matka Diego rozmawiała z chłopcem, przyciszonym, płynnym głosem.

Janowi nie udało się dowiedzieć, w jaki sposób ludzie, których wiedza techniczna była tak skąpa, jak w oczywisty sposób miało to miejsce w Rathole, byli w stanie zbudować te częściowo podziemne kopuły, zdolne oprzeć się wstrząsom tektonicznym pochodzącym z Den Hoorn. A przynajmniej ta w której obecnie się znajdował, nie wykazywała żadnych oznak naprężeń konstrukcji. Religijna grafika i mały szkic ołówkiem Señory Murillo, prawdopodobnie wykonany przez chłopca, wisiały nieco krzywo na wygiętych do wewnątrz ścianach, ale to było wszystko.

Jan czuł się nieco zirytowany tymi hiszpańskojęzycznymi ludźmi.

— Gdyby podjęto jakiekolwiek wysiłki, aby zabrać chłopca do Oostpoort stąd, zamiast prosić nas o wysłanie samochodu, Den Hoorn mogło zostać przekroczone, zanim powstało pęknięcie — zauważył.

— Podjęto takie wysiłki — odpowiedział cicho Sanchez. — Być może nie w pełni zdaje pan sobie sprawę z naszej sytuacji tutaj. Nie mamy żadnych silników z wyjątkiem stacjonarnych generatorów, które dostarczają nam prądu do klimatyzacji i naszych urządzeń. Zasilane są one przez wiatraki. Nie mamy silników benzynowych do pojazdów, więc nasze pojazdy napędzane są ręcznie.

— Pchacie je, czy co? — z niedowierzaniem dopytywał się Jan.

— Nie. Widział pan zdjęcia ręcznych drezyn, które kiedyś były używane na ziemskich liniach kolejowych? Nasze są tak właśnie napędzane, ale nie możemy ich używać, kiedy wieje wenusjański wiatr. Zanim zdiagnozowałem Cień Wenus u Diego, wiatr już się wzmagał i nie mieliśmy sposobu, żeby go zawieźć do Oostpoort.

— Mmm — mruknął Jan. Poruszył się niespokojnie i popatrzył na siedzącą w kącie parę. Jasnowłosa kobieta pochylała się opiekuńczo nad chłopcem, a czarne oczy Diego odpowiedziały ponad jej ramieniem na spojrzenie Jana.

— Jeśli choroba właśnie się rozpoczęła, chłopiec może poczekać na następny statek na Ziemię, prawda? — zapytał Jan.

— Powiedziałem, że właśnie ją zdiagnozowałem, nie to, że właśnie się rozpoczęła, señor — poprawił go Sanchez. — Jak pan wie, podróż na Ziemię trwa 145 dni i można ją zacząć tylko wtedy, gdy obie planety

znajdują się na właściwych pozycjach na swoich orbitach. Czy kiedykolwiek widział pan, jak ktoś umiera na Cień Wenus?

— Tak, widziałem — odpowiedział Jan cichym głosem. Widział, jak umierają na to dwie osoby i nie było to przyjemne.

Medycy uważali, że jest to choroba niedoboru, ale nie ustalili czynnika odpowiedzialnego za ten niedobór. Leczenie witaminami, dietą, antybiotykami, promieniami podczerwonymi i ultrafioletowymi, żadna z tych metod nie działała. Jedynym sposobem, który potrafił powstrzymać i wyleczyć chorobę, było zabranie chorego z suchej, pokrytej całunem chmur powierzchni Wenus, i powrót do wilgotnego, słonecznego klimatu na Ziemi.

Bez takiej kuracji, po pojawieniu się typowej cętkowanej tekstury skóry, ciało chorego szybko ulegało degeneracji i odpadło w kawałkach. Ofiara poza tym nie czuła się chora i pozostawała w pełni świadoma, dopóki degeneracja nie dotarła do jakiegoś istotnego miejsca.

— Jeżeli tak — powiedział Sanchez — musi pan sobie zdawać sprawę z tego, że Diego nie może czekać na kolejny statek, jeśli mamy uratować jego życie. Musi natychmiast wracać na Ziemię.

Jan wypuścił obłok Heerenbaai-Tabak i zaczął się zastanawiać. To miejsce zostało nazwane wyjątkowo trafnie. Była to bardzo biedna społeczność. Jednak chłopiec może i był ciemnoskórym Hiszpanem – może pochodzącym z Meksyku. Ale przede wszystkim był małym chłopcem i istotą ludzką.

Przyszła mu do głowy pewna myśl. Z tego, co widział i słyszał, cała ekonomia Rathole nie była w stanie utrzymać ogromnego kosztu wysłania chłopca statkiem kosmicznym przez miliony mil, na Ziemię.

— Kto płaci za jego przelot? — zapytał. — Dutch Central Venus Company nie jest instytucją charytatywną.

— Wasz *Señor* Dekker powiedział, że się tym zajmie — odparł Sanchez.

Jan w milczeniu przypalił ponownie fajkę, postanawiając, że Dekker nie zajmie się tym sam. Wynagrodzenia za służbę na Wenus były wysokie, a wielu ludzi z Oostpoort chętnie dołoży się do takiej sprawy.

— Kim jest ojciec Diego? — spytał.

— Był nim Ramón Murillo, bardzo dobry mechanik — odparł Sanchez obrzucając przelotnym spojrzeniem twarz Jana. — Nie żyje od trzech lat.

Jan chrząknął.

— Helikoptery z Oostpoort nie przebiją się na tym wietrze — powiedział z namysłem — inaczej przyleciałbym jednym z nich, zamiast próbować przedostać się przez Den Hoorn drogą lądową. Ale jeśli macie tutaj jakiegoś rodzaju samolot, z wiatrem mógłby dać radę – jeżeli nie rozbije się podczas startu.

— Obawiam się, że nie mamy — stwierdził Sanchez.

— Szkoda. W takim razie nic się nie da zrobić. Najbliższa osada na zachód stąd, oddalona jest o ponad tysiąc kilometrów i akurat

przypadkiem wiem, że też nie mają samolotów. Tylko helikoptery. A więc, to na nic.

— Chwileczkę — wtrącił Sanchez, unosząc skalpel do góry i przechylając głowę. — Chyba coś mamy, choć nie potrafimy z tego korzystać. Kiedyś była tu amerykańska baza marynarki wojennej, a miejscowi ludzie byli jej pracownikami cywilnymi, którzy odmówili przeniesienia się wraz z nią na północ. Korzystano w niej z pewnych pojazdów latających, których używano do pracy na krótkich dystansach. I jeden z nich został tutaj – niewykluczone że z niewielką pomocą mieszkańców osady. Ale…

— Jaka to maszyna? Helikopter czy samolot?

— Nazywają to latającą platformą. Chyba, może unieść dwóch mężczyzn. Ale *señor*...

— Znam je. Latałem nimi, przed opuszczeniem Ziemi. Człowieku, chyba nie oczekuje pan, że spróbuję polecieć czymś tak małym, na tym wietrze? One w ogóle są tak trudne w locie, że bardziej się nie da, a pasażerowie nie mają kompletnie żadnej ochrony!

— *Señor*, nie prosiłem pana, żeby robił pan cokolwiek.

— Nie, nie prosił pan — mruknął Jan. — Ale wie pan, że i tak to zrobię.

Sanchez spojrzał mu w twarz, uśmiechając się lekko i nieco smutno.

— Byłem pewien, że będzie pan chciał spróbować — powiedział. Odwrócił się i powiedział coś po hiszpańsku do pani Murillo.

Kobieta wstała i podeszła do nich. Gdy Jan wstał, popatrzyła na niego ze łzami w oczach.

— *Gracias* — szepnęła. — *Un millón de gracias*.

Uniosła jego dłonie i pocałowała je.

Jan odsunął się lekko, zaambarasowany. Ale patrząc na pochyloną głowę pięknej młodej wdowy, przyszło mu do głowy, że mógłby urządzić sobie tutaj parę wycieczek lotniczych, w wolnym czasie. Bariery językowe nie były nie do pokonania, a kobiece towarzystwo mogło uleczyć go z neurotycznej, zrodzonej z historii, niechęci do Hiszpanów, i to więcej niż z jednego powodu.

Sanchez szarpał go za łokieć.

— Señor, próbowałem panu powiedzieć — oznajmił. — Jest pan hojny i dobry, a ja chciałem, żeby Señora Murillo wiedziała, że jest pan też człowiekiem odważnym. Ale czy nie zapomniał pan, że nie mamy tutaj silników benzynowych? Nie mamy także paliwa dla latającej platformy.

Platforma znajdowała się w magazynie, który podobnie jak reszta budowli w Rathole, był na wpół wkopaną w ziemię kopułą. Podstawa-talerz platformy, miała grubość niecałego metra i wspierała się na czterech metalowych nogach. Na jej górnej stronie, pośrodku, znajdowała się okrągła poręcz, otaczająca miejsce w którym mogło pomieścić się dosyć ciasno dwóch ludzi. Po dwu stronach utworzonego przez poręcz kręgu, umiejscowione były niewielkie silniki na benzynę, zaś między nimi z

trzeciej strony, zamontowano zbiornik paliwa. Pasażerowie wchodzili na platformę od czwartej, pustej strony.

Maszyna była zakurzona i pokryta rdzą. Jan, w towarzystwie Sancheza, Diego i kilkunastu innych ludzi, z zamyśleniem zmierzył ją wzrokiem. Na platformie wymalowane były białe litery USN*SES, a na każdym silniku widoczny był napis „Hiller”.

Jan popatrzył pod krawędzią platformy na dwukanałowe wirniki w plastikowych osłonach. Wydawały się być w dobrym stanie. Śmigła obracane były przez oddzielne silniki, z napędem przenoszonym przez ciężkie gumowe pasy.

Jan westchnął. To była pechowa sytuacja. O ile mógł określić, bez dokładniejszych testów, silniki były w idealnym stanie. Dwa absolutnie dobre silniki i nie było do nich paliwa.

— Jest pan pewien, że w całym Rathole nie ma ani kropli benzyny? — spytał Sancheza.

Sanchez uśmiechnął się ponuro, jak zwykle, gdy słyszał z ust Jana nazwę osiedla. Mieszkańcy nazywali je po prostu „La Ciudad Nuestra” - „Nasze miasto”. Ale, tak samo jak zawsze, nie zaprotestował. Odwrócił się w stronę jednego z mężczyzn i przez chwilę mówił coś do niego szybko po hiszpańsku.

— Nie ma, señor — powiedział, odwracając się z powrotem do Jana. — Kiedy byli tu Amerykanie, oczywiście, trzymali jej wiele, ale te parę rzeczy które dostarczamy do Oostpoort na sprzedaż, nie jest w stanie kupić nam cennej benzyny. Elektryczności mamy całe mnóstwo, jeśli uda się panu nią zasilić platformę.

Jan zastanawiał się również i nad tym rozwiązaniem, próbując znaleźć jakiś sposób.

— Nie, to nie zadziała — powiedział. — Moglibyśmy zamontować na platformie akumulatory i silniki elektryczne do obracania śmigieł. Ale akumulatory na tyle duże, aby zasilić silniki aż do Oostpoort, byłyby tak ciężkie, że maszyna nie dałaby rady unieść ich z ziemi. Gdyby był jakiś sposób na pociągnięcia linii energetycznej przez całą drogę aż do Oostpoort albo przesyłania na platformę energii... Ale to maszyna o niewielkim obciążeniu i musi mieć silnik, który zapewnia jej niezbędną moc przy bardzo małej wadze.

Przez głowę przelatywały mu najdziksze plany. Gdyby znajdowali się na wodzie, a nie na lądzie, mógłby zbudować żagiel. Nadal zresztą mógłby zbudować żagiel dla samochodu, gdyby nie ta przepaść biegnąca przez Den Hoorn.

Samochód! Jan wyprostował się i strzelił palcami.

— Panie doktorze! — wyjaśnił. — Proszę wysłać paru ludzi, żeby spuścili resztę paliwa z mojego samochodu. I niech zabiorą tę platformę na dwór, a potem przywiążą ją, dopóki nie rozpoczniemy prób.

Sanchez wydał kilka szybkich poleceń w języku hiszpańskim. Dwóch mężczyzn wybiegło pośpiesznie, niosąc ze sobą pięciogalonowe puszki.

Trzech innych podniosło platformę i wnieśli ją po rampie na zewnątrz. Zaraz kiedy tylko dotarli do poziomu ziemi, uderzył w nich wiatr. Natychmiast opuścili platformę na ziemię, gdzie stała przez chwilę drżąc i

kołysząc się, a dwóch z tragarzy rzuciło się na płask, brzuchami do dołu. Trzeciego porwał wiatr i obrócił nim kilka razy, zanim zdołał się wyhamować, szorując po ziemi plecami oraz rozłożonymi rękoma i nogami. Przekręcił się ostrożnie na brzuch i przyczołgał z powrotem.

Jan, z głową wysuniętą tuż ponad poziom gruntu, obserwował okolicę. Na wschodzie teren była płaski, czysty w dosyć szerokim pasie przez co najmniej pół kilometra, dopiero w nieco dalszej perspektywie wystawała z ziemi jakaś kopuła.

— To całkiem niezłe miejsce na start, jakbyśmy je znaleźli — powiedział do Sancheza.

Ludzie przywiązali trzy mocne liny do balustrady po nawietrznej stronie platformy i przymocowali je do grubego łańcucha biegnącego koło kopuły. Platforma szarpała się i trzęsła na mocnym wietrze, ale jej podstawa miała zbyt nisko położony środek ciężkości, aby mogła się przewrócić.

Wkrótce obaj mężczyźni wrócili z paliwem z samochodu, przeciągając się wzdłuż łańcucha. Jan przykucnął nad ziemią, przywarł do barierki platformy i pomógł im napełnić zbiornik paliwa. Napełnił gaźniki i zakręcił silnikami.

Nic się nie stało.

Znowu zakręcił silnikami. Jeden z nich zakaszlał, a z jego rury wydechowej wyleciała chmura niebieskiego dymu, ale nie zapalił.

— W czym problem, señor? — zapytał Sanchez z wejścia do kopuły.

— Nie wiem — odparł Jan. — Może to dlatego, że silniki nie były od tak dawna używane. Obawiam się, że nie jestem dostatecznie dobrym mechanikiem, aby to powiedzieć.

— Niektórzy z tych ludzi byli niezłymi mechanikami, kiedy była tutaj marynarka — powiedział Sanchez. — Proszę zaczekać.

Odwrócił się i powiedział coś do kogoś w kopule. Jeden z ludzi z Rathole podszedł do Jana i spróbował uruchomić silniki. Nie chciały załapać. Mężczyzna dokonał regulacji gaźnika i spróbował ponownie. Bez powodzenia.

Pociągnął nosem, zdjął nakrętkę ze zbiornika paliwa i wsunął palec do środka. Wyciągnął go, cały mokry i tłusty, i obejrzał go. Odwrócił się i powiedział coś do Sancheza.

— Powiedział, że pański samochód musi mieć silnik diesla — przetłumaczył Sanchez Janowi. — Zgadza się?

— Tak, to prawda.

— Powiedział, że w tej sytuacji paliwo nie zadziała, señor. Mówi, że to paliwo niskiej jakości, a platforma musi mieć wysokooktanową benzynę.

Jan uniósł ręce i wrócił do kopuły.

— Powinienem był to przewidzieć — przyznał nieszczęśliwym tonem. — Wiedziałbym, gdybym o tym trochę pomyślał.

— W takim razie co możemy zrobić? — zapytał Sanchez.

— Nic się nie da zrobić — odparł Jan. — Równie dobrze mogą przelać paliwo z powrotem do mojego samochodu.

Sanchez wykrzyczał rozkazy do mężczyzn na platformie. Kiedy pracowali Jan wpatrywał się w szaleńczo wirujące wiatraki, którymi usiane było Rathole.

— Nic się nie da zrobić — powtórzył. — Nie możemy ruszyć w podróż naziemną z powodu przepaści w Den Hoorn i nie możemy polecieć na platformie, ponieważ nie mamy do tego energii.

Wiatraki. Jan znowu wyobraził sobie otaczające go płaskie tereny jako rodzinną Holandię, z lśniącym na zachodzie Zuider Zee, w miejscu gdzie pod ciemniejącymi chmurami rozciągała się pustynia.

Jan spojrzał na zegarek. Nieco ponad dwie godziny do czasu odpalenia G-łodzi i nie mogła ona na nich zaczekać. Minęło już prawie osiem godzin, odkąd opuścił Oostpoort, a popołudnie stało się wyraźnie ciemniejsze.

Janowi było przykro. Zrobił wszystko, co w jego mocy, ale Wenus go pokonała.

Rozejrzał się za Diego. Chłopca nie był w kopule. Był na zewnątrz, przykucnął po zawietrznej kopuły, bawiąc się jakimiś patykami.

Diego musiał wiedzieć o swojej chorobie i dlaczego musi udać się do Oostpoort. O ile Jan potrafił oceniać ludzkie charaktery, Sanchez mu o tym powiedział. Czy Diego był świadom tego, że dotarcie na pokład *Vanderdeckena*, zanim statek wystartuje w swój lot na Ziemię, jest dla niego kwestią życia lub śmierci, Jan nie miał pojęcia. Ale chłopiec miał już niemal osiem lat i był bystry, musiał więc zdawać sobie sprawę z powagi, jaka wiązała się z decyzją o wysłaniu go na Ziemię.

Jan wstydził się swej ogromnej głupoty, która doprowadziła go do ciągłego ględzenia o historii starożytnej i twierdzeń, że pochodził od Wilhelma Orańskiego. To było hobby i sztuczny temat do rozmów, mających zabawić jego samego oraz towarzyszy, obrona przed monotonią Wenus, która zaczęła wpływać na osobowość Jana, być może nieco bardziej, niż sobie to uświadamiał. Nie czuł niechęci do Hiszpanów; nie miał powodu, aby ich nie lubić. Wszyscy byli przecież ludźmi – Hiszpanie, Holendrzy, Niemcy, Amerykanie, a nawet Rosjanie – walczącymi wspólnie z wrogą planetą. Nie rozumiał słów wypowiadanych przez Diega, gdy chłopiec coś do niego mówił, ale lubił Diega i rozpaczliwie pragnął, żeby coś zrobić.

Na dworze wiatraki Rathole obracały się wesoło.

Była przecież energia, energia, która oświetlała i klimatyzowała Rathole, mnóstwo energii w powietrzu wokół nich. Gdyby tylko mógł ją wykorzystać! Ale odwrócenie platformy na bok i pozwolenie aby wiatr obracał jej śmigłami było przecież bez sensu.

Zwrócił się do Sancheza.

— Proszę zapytać ludzi, czy są jakieś części zapasowe do platformy — powiedział. — Może jakieś nogi, na których się wspiera, pasy transmisyjne, zapasowe śmigła.

Sanchez zapytał.

— Tak — przekazał po chwili. — Mamy wiele części zamiennych, ale żadnego paliwa.

Jan uśmiechnął się z napięciem.

— Niech pan im powie, żeby usunęli silniki — poprosił. — Skoro nie mamy paliwa, równie dobrze możemy zrezygnować z silników.

Pieter Heemskerk stał przy rampie wiodącej krótkiej, masywnej G-łodzi i sprawdził zegarek. Była godzina X minus piętnaście – piętnaście minut do czasu odlotu.

Heemskerk miał na sobie skafander kosmiczny. Wszystko było już gotowe, pozostało tylko wejść na pokład, zamknąć śluzy i nacisnąć przycisk odpalający rakiety.

Co na Wenus, mogło się stać z Van Arteveldem? Ostatnia wiadomość radiowa, którą otrzymali ponad godzinę temu, mówiła, że on i pacjent udanie wystartowali samolotem. Jakim samolotem mogli lecieć, że wymagał on ponad godziny, na pokonanie z wiatrem osiemdziesięciu kilometrów?

Jedyny wniosek, jaki Heemskerk mógł wyciągnąć w tej sytuacji, polegał na tym, że samolot rozbił się gdzieś na Den Hoorn. Prawdę mówiąc słyszał, że trwają już przygotowania do wysłania kilku samochodów terenowych, na jego poszukiwania.

Oczywiście wtedy będzie już za późno, aby pomóc pacjentowi, którego wiózł Van Artevelde, ale Heemskerk nie czuł osobistego zainteresowania losem pacjenta. Jego niepokój dotyczył przyjaciela. Obaj cieszyli się wspólnymi partiami szachów i dobrym piwem, podczas trzech ostatnich podróży Heemskerka na Wenus, i miał nadzieję że wielki blondyn wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku.

Ponownie spojrzał na zegarek. X minus dwanaście. Za dwie minuty nadejdzie czas, aby ruszyć po rampie do środka G-łodzi. Za siedem minut głośniki na terenie całego portu kosmicznego rozpoczną przekazywanie wstecznego odliczania przed startem.

Heemskerk ze smutkiem pokręcił głową. A Van Artevelde obiecał triumfalny powrót z miotłą na szczycie masztu!

Uwagę pilota przyciągnął nagle niesiony przez wiatr wysoki, cienki skowyt, przebijający się nawet przez ścianki hełmu jego skafandra kosmicznego, powodujący że jego stopa zastygła nieruchomo na rampie. Zebrani dokoła mechanicy rakietowi wpatrywali się do góry w niebo, próbując zlokalizować ten dziwny hałas.

Heemskerk popatrzył na zachód. Początkowo niczego nie mógł dostrzec, ale po chwili ponad górskim szczytem na tle indygowej kopuły chmur pojawił się ruchomy punkcik. Zrobił się większy, opadł niżej, przybliżył się i zmienił się w dziwny, mały latający dysk, na którym stały dwie osoby, a z jego pokładu przed nimi coś wystawało.

Miotła?

Nie. Platforma zawisła w powietrzu i zaczęła opadać w pobliżu łodzi, a Van Artevelde wychylając się przez poręcz szaleńczo manipulował czymś,

co było na niej zamontowane – jakimś dziwnym, kanciastym zestawem rur i pasów transmisyjnych, zwieńczonych wirującym śmigłem. U jego boku stał jakiś chłopiec i próbował mu pomóc. Gdy platforma opadła na wysokość kilku metrów nad ziemią, Holender odciął urządzenie. Przecięte końce pasów śmignęły szaleńczo w powietrze, a platforma ześlizgnęła się z dużą szybkością na ziemię. Uderzyła z hukiem i zgrzytem, a jej pasażerowie polecieli prosto na ziemię.

— Jan! — zawołał Heemskerk, przebijając się głosem przez błonę hełmu i podbiegając do przyjaciela. — Już się bałam, że gdzieś się zgubiłeś!

Jan z podniósł się trudem i pochylił się, aby pomóc wstać chłopcu.

— Oto twój pacjent, Pieter — powiedział. — Mam nadzieję, że masz skafander w jego rozmiarze.

— Jakiś uda mi się znaleźć. I będziemy musieli się pośpieszyć, żeby zdążyć ze startem. Ale, przede wszystkim, co się stało? Nawet to przeklęte ustrojstwo powinno dotrzeć z Rathole szybciej niż wy.

— Nie miałem paliwa — odparł krótko Jan. — Miałem doskonałe silniki, ale nie miałem energii, żeby je uruchomić. Musiałem więc wyciągnąć silniki i zamontować nowe źródło napędu.

Heemskerk wpatrywał się w platformę. Na poręczy ustawiony był trójnóg z poobijanych metalowych rur, na szczycie którego duże czterołopatowe śmigło obracało się powoli na resztkach wiatru przebijających się przez położoną na zachodzie górę. Nad samą platformą, wisiał zestaw obszarpanych pasów transmisyjnych, napędzających dwa wmontowane w jej podstawę śmigła.

— Źródło napędu — powtórzył Heemskerk. — To?

— Oczywiście — odparł z godnością Jan. — Źródło napędu, do którego każdy dobry Holender ucieka się w sytuacji awaryjnej: wiatrak!

KONIEC